Jan Herman

30 stycznia uczestniczyłem w czymś zamiast „opłatka”, jako członek koła PPS Warszawa-Śródmieście. Nie było nas tam licznie, ale też data tego spotkania nie trzymała się niczego. Próbowałem tam zabierać głos, w sprawie ideowej, ale i w sprawie politycznej. Uwaga: mówiłem dla wielu zbyt długo, a i tak nie zdołałem powiedzieć składnie tego, co tu zawrę poniżej. Ideowo znów powróciłem do próby odpowiedzi na pytanie, na czym polega ów socjalizm. Na roboczo definiuję dziś, że jest to ustrój dla ludzi AKTYWNYCH PUBLICZNIE W DOBREJ WIERZE, którzy są na tyle odporni moralnie na doczesne pokusy i słabości, że potrafią odrzucić powszechne dziś w Polsce RWACTWO DOJUTRKOWE.
Nie, nie jestem przeciw czyjejkolwiek karierze jako takiej, ale osądzam jako niemoralną każdą karierę opartą na RWACTWIE i KUNKTATORSTWIE, zwłaszcza kosztem bliźniego (zaraz wyjaśnię) i kosztem dobra wspólnego. Sądzę, że jeśli ktoś jest w czymś lepszy niż inni, to powinien umieć się powstrzymać przed dyskontowaniem tego „pod siebie”, tylko powinien zrobić wszystko, a może choćby wiele, by inni nie odstawali od niego ani poziomem dochodu, ani poziomem orientacji w procesie społecznym, ani w dostępie do art-kultury. Bo naprawdę mam przekonanie, że zwykły człowiek ma prawo do dochodów na poziomie co najmniej 1/10 dochodów przeciętnych (obetnijmy z tego surrealistyczne marginesy w dół (nędza) i w górę (suta wystawność).
Moje „spostrzeżenie ustrojowe” jest takie, że przy obecnej wydajności pracy (początek XXI wieku) nawet najmniej rozgarnięty człowiek, w tym człowiek niesprawny fizycznie albo chwilowo niezdrowy) jest w stanie wypracować (jeśli się go „dopuści”) taką część społecznej puli dostatku, która jest 1000 razy obfitsza niż 100 lat temu. Tyle że kilku procentom spośród nas odmawia się (systemowo-ustrojowo) prawa do godnej pracy, przynoszącej owoce społeczne, a ok. 20-30 procentom odmawia się pracy godnej, i to bez powodu ekonomicznego, a ze zwykłego rwactwa tych, którzy „dzielą” pracę albo jej owoce.
Dopowiem: jeśli z jakichś (moim zdaniem ekonomicznie i społecznie absurdalnych) powodów zatrudnianie owych kilku procent (albo zatrudnianie na godnych warunkach owych 20-30 procent) jest rachunkowo nieopłacalne – to przy uśrednionej, społecznej wydajności pracy POWINIEN BYĆ BUDŻETOWO-KONSTYTUCYJNIE OBOWIĄZKOWY co najmniej od kilkudziesięciu lat tzw. MINIMALNY DOCHÓD GWARANTOWANY. Bo to jest ZWYCZAJNIE ludzkie, humanitarne: nie kalkulujesz się – to dajemy ci pożyć na ludzkim poziomie. A JESTEŚMY WOBEC SIEBIE – BYDLAKAMI.

Ów ludzki poziom życia ja sam sformułowałem dawno temu jako 8 punktów:
1. Podłoga (jako symbol dachu nad głową w standardowych warunkach)
2. Posiłek (jako symbol choćby jadła wystarczającego każdemu do przeżycia)
3. Koszula (jako symbol odzienia na porę roku i dnia)
4. Bilet (jako symbol zdolności przemieszczania się choćby po okolicy)
5. Gazeta (jako symbol niepropagandowej informacji dającej zorientowanie)
Do tego:
6. Opieka medyczna (na standardowym poziomie)

7. Opieka edukacyjna (na równie standardowym poziomie)
I na koniec:
8. Wsparcie prawnicze (pomoc w poruszaniu się pośród meandrów legislacyjnych)

W tej ostatniej, ósmej sprawie miarą nie-człowieczeństwa, zbydlęcenia ustrojowo-systemowego jest powszechna skłonność tzw. wymiaru sprawiedliwości do głoszenia i stosowania zamiennie jednej z paremii: Ignorantia iuris nocet (łac. nieznajomość prawa szkodzi), Ignorantia legis neminem excusat, (łac. nieznajomość prawa nikogo nie usprawiedliwia). Takiej skłonności twórców, strażników i egzekutorów prawa – dziwnym trafem (i obyczajem) doświadczają ludzie „niżsi w prawie", czyli obywatele (zaledwie) rejestrowi, podrzędni, podli statusem. Coraz częściej mimo „postępu". Ktokolwiek policzy środki niezbędne do zagwarantowania powyższego „5+2+1" ten bez większych ceregieli pojmie (a ja jestem ekonometrykiem po SGPiS plus podyplomówka z logistyki i inna z teleinformatyki) – ten dojdzie do tego, że nas po prostu jako społeczeństwo o gospodarce niezbyt wygórowanej – stać, zwłaszcza jeśli odejmiemy od tego całe tabuny żyjące wokół urzędów pracy, ośrodków pomocy społecznej, itd., itp.
Politycznie zaś „ogłosiłem odkrywczo", że stać nas – lewicę, a już na pewno socjalistów, na to by stanąć bez krygowania się po stronie proletariuszy, szczególnie kiedy cały PRL został nieludzko i bezczelnie dławiony i zaorany przez Transformację, której pierwszym odciskiem ideowym jest wspomniane RWACTWO DOJUTRKOWE, przyzwolenie na tupeciarskie działania w stylu „tyle zysku co w pysku". Mam oczywiście świadomość zarówno tego, że ludzie nie-lewicowi wyznają albo utopię liberalną (utopię, bo zakłada ona samoczynne powstrzymanie się człowieka od monopolizowania, zaklepywania wszystkiego co wokół korzystne dla niego samego), albo utopię katolicką (utopię, bo zakłada powszechne istnienie chrystusowego modelu człowieka, altruisty miłującego bliźnich ponad miłość własną).
Tym bardziej mogę uważać za aberrację po stronie lewicowej, że programowo zakłada poprawność modeli liberalnych i „dziesięcioprzykazaniowych", nie obstając przy ich utopijności. Dopuszczając liberalizm ideowy w obszarze ekonomicznym i dziesięcioprzykazaniowość w obszarze kultury – lewica kapituluje ze społecznej emancypacji, zarazem wyzbywa się wielopokoleniowego dorobku, wydawałoby się, że oczywistego w obszarze europopochodnym. Dwie utopie w jednym – oto co sobie serwujemy chętnie, bezkrytycznie i naiwnie.
Ja osobiście – nie narzucając przecież swoich poglądów nikomu na siłę, ale obstając przy nich – widzę realnie i wyraźnie taki proces pęczniejącej i powszechniejącej obywatelskości, który spowoduje „wygasanie" wszelkich wyobrażalnych prerogatyw, immunitetów i regaliów w każdym wyobrażalnym fraktalu państwowości: czy to organ, czy to urząd, czy to służba. A kiedy jednak nie ma (i zapewne długo nie będzie, bo i skąd przy obecnym poziomie rozeznania społecznego?) komunizmu, czyli czegoś w rodzaju obywatelskiego, ludowładczego, gminowładczego Kraju Rad (samorządów rzeczywistych, nie mylić z ZSRR opartym na pośpiesznym, totalitarnym dekretowaniu demokracji, wolności i podobnych wartości) – to mamy akurat idealną przestrzeń dla socjalizmu, dbającego o emancypację, czyli godne życie każdego, rzetelną edukację, równe szanse w grze wszystkich ze wszystkimi o wszystko, o bogactwo duchowe i rozmaite swobody nie krzywdzące innych.
Bez takiego socjalizmu nie sposób sobie wyobrazić to, co nazywamy (i deklarujemy, najczęściej fałszywie, życzeniowo, ale egoistycznie) powszechnymi prawami człowieka i obywatela. I nie sposób wyobrazić sobie obywatelskiej edukacji, na którą liczą ci socjaliści, którzy chcą równości szans, godności w pracy i podziale dochodów z niej, minimalizowania obszarów wykluczeń i

nędzy, którzy chcą, byśmy jako społeczeństwo stawali się coraz zdrowsi, sprawiedliwsi i lepsi moralnie, a przede wszystkim serdeczni wobec siebie, zdolni wybaczyć rozmaite pomyłki, jeśli wynikają z dobrej woli (to samo koło PPS chciało kiedyś ukarać popadającego w nędzę Edmunda Szopkę, który do końca życia imponował poświęceniem i zaangażowaniem, mimo widocznej nędzy i dezorientacji ideowej).

* * *

Niechby początkiem naprawy w tej sprawie była instytucja-formacja Społecznego Rzecznika Praw Człowieka i Obywatela. Na każdym kroku – szczególnie w tzw. „naszych czasach" – prawa te są łamane wobec „przechodnia", pracownika, aktywisty-społecznika, pacjenta, ucznia, seniora, wieśniaka, podwładnego, pasażera, konsumenta, aresztanta-więźnia, „odmieńca" w różnych przekrojach dyskryminacji (ale i nad-przywilejów). A ostatnio uprawiamy niemal weterynaryjną politykę godną opresyjnego, władczego nad-Sanepidu zamiast opieki medycznej. Wstyd – mówię to do Senatora-Przewodniczącego-Dyrektora, bo przecież nie Towarzysza…? Nadal działają i kwitną tzw. zatrzaski lokalne: chcesz przejść życie bezproblemowo – to się orientuj, z kim, co, kiedy, jak, za co trzeba sobie załatwiać, komu nie nadeptywać na odciski, kogo unikać, a do kogo się kleić i kadzić. Tu akurat „nie chcą działać" ani prawa, ani służby, ani wymiary, ani urzędy, ani cokolwiek, co miałoby być przyzwoite.
Wspomniany Społeczny Rzecznik – to byłby korpus ludzi znanych z tego że są prawi (nie będę tu literował, egzemplifikował kryteriów), rozsianych mniej-więcej po jednym na powiat, którzy mają bezwzględne i natychmiastowe prawo weta, czyli wstrzymania dowolnych opresji policyjnych, strażniczych, urzędniczych, komorniczych, politycznych (np. wyborczych). I do tego nie sa opłacani inaczej, jak z budżetu obywatelskiego, jak radni (a moim zdaniem jak powinni być sołtysi, bo są ja bliżej szarego człowieka).
Korpus Społecznego Rzecznika działałby nie „pod przywództwem", tylko „pod Konstytucją", w absolutnej autonomii od urzędów, organów i służb. Nie wykluczam, że gdyby powstał – przykleją się do niego różni obwiesie, bo to łakomy kąsek, nawet dla najprzyzwoitszych. Ale próbować trzeba, począwszy od obierania przez (np. sołectwa) takich właśnie porządnych rzeczników, którzy za niewielką „public collection" (złotówka od duszy?) braliby na siebie niezwłoczną, interwencyjną ochronę krzywdzonych do czasu, kiedy społeczeństwo uzna, że „podpadają" oni pod prawo, które ich „dopadło" – albo ich uwolnią go z prawnej

(co nie oznacza – społecznej) odpowiedzialności. Mowa też np. o prawie rodzinnym czy prawie o stowarzyszeniach, o partiach, i tak dalej w tym duchu.
Powtórzę: korpus Rzecznika nie ma żadnego „wodzunia", najrówniejszego równych. Ma około 350 równorzędnych, popartych przez „sąsiedzki naród" reprezentowany przez społeczności sołtysowskie.
Może takie rozwiązanie nie wróży samych sukcesów „od ręki", ale jest bliskie koncepcji „demokracji bezpośredniej", czyli bieżącej, społecznej kontroli działań Państwa w dowolnym jego fraktalu. Tak jak to sobie umyślił swego czasu Jerzy Andrzej Przystawa, a próbuje – mało udolnie, bo politycznie – muzyk, śpiewający wszak niegdyś „bo tutaj jest jak jest, po prostu…". Nie dziwię się temu muzykowi, że jest rozedrgany politycznie, raz ku formacji z „obywatelska" w nazwie, potem ku formacji z „ludowa" w nazwie, a ostatnio z „prawem i sprawiedliwością" w nazwie. Jego utwory tekściarskie i sposób narracji scenicznej – „pasuje", ale niepotrzebnie on traci kapitał społeczny na politykę, która go wykrwawia z przyzwoitości. Chwaląc rozwiązania

socjalne zmierzające do (opisywałem powyżej) „5+2+1” – zadowala się on sukcesiątkami legislacyjnymi, zamiast proponować dwa kolejne kroki: staszicowski (spółdzielnie kształtujące samozaradność ekonomiczną i obywatelską) i późno-abramowiczowski (poszwajcarski), czyli Organizacja Kultury Polskiej, koncept mocny ideowo i społecznie, zupełnie ignorowany przez współczesną lewicę polską. Może mu jakoś ciąży to, że wypadkowa jego projektów jakoś pasuje do – jakby powiedział – „komuny”?

* * *

Na zebraniu Koła PPS Warszawa-Śródmieście, w dniu 30 grudnia, próbowałem ująć w krótkiej, zdawkowej formie to co napisałem powyżej. Nie wyszło. Nie dość, że mówcą jestem kiepskim, że okoliczności były raczej poświąteczne, że zwyczajnie się „spaliłem” durnymi i nieżyczliwymi wtrąceniami osób zajętych mlaskaniem do bigosu i przełykających ślinkę – to nawet osoby znające mnie z grubsza – udawały, że nie rozumieją co mówię i próbowały sobie wyobrazić, że jestem „niekonieczny” (mowa o wciąż-przewodniczącym PPS). Przegrałem tę zebranio-rozmowę, mimo dwóch podejść. Mogę co najwyżej podziękować nielicznym, którzy mi współczuli, szczególnie „po”. Tak kiepskiego „przemówienia” nie miałem ładnych kilka lat.
Ale nie ma tego złego: stało się dla mnie do bólu jasne, że naznaczone doraźnym rwactwem knowania Przewodniczącego są skuteczne, a w moim „rodzonym” kole „Śródmieście” zwycięża szacunek dla jego „gambitu”, w którym pokazał, jak bardzo (nie) szanuje wspólnego partyjnego dobra w postaci nazwy (oddał ją za naszymi plecami innemu, obcemu ideowo podmiotowi). Ukradł powierzone mu dobro wspólne…!
Dyrdymaleniem, bo nie da się dosadniej – nazwę nadzieje deklarowane podczas tego spotkania, że zyskujemy nagłośnienie medialne samej PPS i sprawy socjalizmu. Równie dobre mogliśmy oddać (bezpłatnie) 130-letnią nazwę naszej proletariackiej (statutowo) partii komukolwiek: tu sobie wpiszcie jakikolwiek skrót-akronim, bo stajemy się na skutek tego manewru „udawanką proletariacką”. I to w czasach, kiedy proletariuszy w Polsce lawinowo przybywa, a nie reprezentuje ich politycznie nikt, bo na pewno nie ta piątka z Koła Parlamentarnego o ukradzionej, zwędzonej prawowitym właścicielom nazwie. Z udziałem Przewodniczącego, korzystającego z przyzwyczajeniowego domniemania, że nadal przewodniczy.
Mnie nie obrażają ani takie uwagi, że przecież proletariatu już dawno nie ma, serwowane przez zdezorientowanych głupców, ani podśmiechujki z tego, że sam nazywam się proletariuszem (używam zresztą czasem „pseudonimu” Gavroche, użyję też poniżej).Ale obrażają mnie uwagi w stylu: rolą polityczną partii jest walka o władzę, a ta jest „grą na szable”. Takie uwagi powinienem wynieść z PPS-owskiego zebrania na widłach. Co to za teksty rodem z liberalnego katechizmu…!?
Boli mnie, że uwagi te padają ze strony m.in. człowieka światłego, który zapewne zabezpiecza sobie „autorytet” w gronie uzurpatorów nazwy PPS. Dał mi rekomendację, kiedy wstepowałem do partii. Nie wiedział, że daje ją proletariuszowi, przesadnie skromnemu w zabiegach o funkcje statutowe? Znam tych uzurpatorów, żadne z nich nie jest socjalistą, i nie chcę przez to powiedzieć, że sam jestem nielicznym i wyjątkowym „znawcą” socjalizmu, tylko chcę zapytać np. Przewodniczącego, kto ZA NIM STOI, bo nie proletariusze, podmiot liryczny PPS z okresu założycielskiego sprzed 129 lat, skoro stać go moralnie na uzurpatorskie selekcjonowanie kół i szeregowych członków PPS, na te godne rejestrowania i te niegodne, na krojenie żywcem swojej następnej kadencji, gołym okiem widać już, że nie będzie z niego Majakowski, choć

stosuje w realu jego maksymę: mówimy Konieczny, a w domyśle PPS, mówimy PPS – a w domyśle Konieczny. Pełno go niemal co dzień w mediach: że niby mediaści tylko jego chcą. W ten sposób zmonopolizował narrację partyjną, którą teraz częściowo oddał uzurpatorom spoza obszaru ideowego SOCJALIZM. Mnie oni na pewno nie reprezentują, choć przecież nie odmawiam im prawa do mediów, a nawet do lewicowości czy do „pozycjonowania" się w polityce.
Pewnie sobie uważacie, że oto dokonuję medialnej, fejsbukowej napaści na niego…? Nic podobnego: obrażałbym w ten sposób tych, którzy go wybrali i powierzyli mu konkretne zadania, jakie on po swojemu przeinacza (coś mnie wtedy tknęło i manifestacyjnie opuściłem Kongres). Po prostu czekam, aż go dopadnie wreszcie instynkt „rzecznika proletariuszy", bo bez tego nie wygra kolejnych wyborów inaczej niż kolejnym kuglarstwem.

* * *

Muszę, no po prostu muszę: jestem współautorem koncepcji Nowego Towarzystwa Oświatowego (NTO), o ile pamiętam, odnotowanego na zebraniu 30 grudnia jako projekt uchwały. Szczegóły już opublikowałem na FB, w różnych grupach.
Cokolwiek z tego wyjdzie – niech „robi" za próbę powrotu PPS do tradycji oświatowo-edukacyjnej. Obywatelskiej, kulturowej.

Jan „Gavroche" Herman